

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!

Mogę rozpocząć i mam nadzieję zakończyć czwarty list wspólny, chociaż to takie pewne nie jest. List piszę przez kilka dni, a nieraz nawet dłużej, wciąż uzupełniając ciekawszymi zdarzeniami, aż mój bezmyślny, czyli głupio posłuszny, komputer poinformuje mnie, że dwie strony już się zapełniły Pewności nie mam, bo ostatnio jest zagrożone moje życie. Łatwiej zapobiec powtórnemu niebezpieczeństwu zaczadzenia, po prostu wyłączyłem piec centralnego ogrzewania, gdy wszystkie spaliny mazutu uszły do łazienki (bo tam ktoś miał pomysł wstawienia tego pieca), zamiast do komina. Teraz palę węglem w kuchennym piecu na drzewo, otwieram wszystkie drzwi i mam wrażenie, że jest cieplej. Ten problem trzeba rozwiązać przed zimą.

Niestety, wciąż nie mam jasnego planu uporządkowania spraw związanych z plebanią. Mam kłopoty z wynajęciem odnowionego domu (jestem obcokrajowcem), a potem z płaceniem właścicielowi. Co prawda, obiecano mi, że stowarzyszenia mogą pokrywać wysoki czynsz, ale ja mam pewne wątpliwości: co będzie, gdy stowarzyszenia przestaną istnieć, albo zbankrutują? Przed 22 laty Bractwo Różańcowe liczyło 500 członkiń, obecnie należy 195, a liczba ta maleje coraz szybciej. Ostatnio obiecano mi mieszkanie z funduszu dla bezrobotnych obcokrajowców (pytano mnie tylko o prawo jazdy). Płaciłbym symboliczne komorne.

Podjmując temat niebezpieczeństw mojego życia wyjaśniam, że bardzo zycziwa i wciąż pomagająca mi parafianka może się kiedyś nie opanować i spełnić swoją groźbę. Nieraz ratuje mnie miejsce (w kościele), innym razem stan duchowny (koloratka, bo tylko tyle mam we Francji z całej polskiej sutanny). Oszczędźcie sami, czy jestem bezpieczny, biorąc pod uwagę następujące fakty. Kiedyś poinformowano ją, że zaczyna usychać palemka na plebanii, ponieważ przez pół roku przypomniałem sobie dwukrotnie, że potrzebuje wody. Dlaczego ją to zdenerwowało? Bo tę palmkę podarowała memu poprzednikowi. Nie uspokoiła się moim wyjaśnieniem, że już we wrześnieu ja chciałem ratować tę palmę prosząc o wzięcie albo do kościoła, albo do domu. Nie uwierzyła mi, teraz dmucha i chucha, aby ją utrzymać przy życiu. Innym razem zauważyłem, że wiszące obok firanek wąskie story (nawet nie wiem, jak to poprawnie nazwać po polsku) są już brudne. Zlikwidowałem to siedlisko kurzu. I znów usłyszałem: „ja księdza zabiję”. Większość firanek i dodatków (za wąskie, aby zasłonić okno), należała do jej matki i po jej śmierci dopasowała do okien probostwa, które do czasu złamania nogi często sprzątała. Teraz już chodzi, kwiaty w kościele znów ustawia niemal nigdy nie żądając pieniędzy – parafianie przynoszą bezpośrednio do niej albo kwiaty, albo dają pieniądze. Pod tym względem jestem spokojny, podobnie jak o porządek wokół kościoła. Piątka mężczyzn obcina żywopłot, czasem nawet równo, wycina trawę nawet nie prosząc mnie o benzynę do małej kosiarki, wymienia przepalone żarówki... Mam więc spokój i pewność, że zawsze będzie porządek. Ja sam jednak wolę być dalej od tych ludzi.

Do domu mego brata w Polsce mam dokładnie 1945 kilometrów. Oblat uczący się języka francuskiego, brat Andrzej, wspaniale prowadził mój samochód. Drugi kierowca będąc trakcie wymiany prawa jazdy z małgaskiego na francuskie nie może prowadzić samochodu poza Francją. Jest on palaczem namiętnym, chociaż kulturalnym. Szanując mnie ani razu nie zapalił papierowa w samochodzie. Po dwóch godzinach jazdy już nieśmiało prosił o pięć minut, po trzech godzinach już błagał. Korzystaliśmy z parkingów myśląc także o posiłku, rozprostowaniu się, rozluźnieniu kości i mózgu, nakarmieniu benzyną samochodu. A wspominam o tym dlatego, że na jednym z postojów doszło między nami do wymiany zdać: „ja już pełne 3 godziny wytrzymałem bez palenia” – „a ja bez tego wytrzymałem już ponad 58 lat”. Brat Andrzej przy naszym pierwszym spotkaniu zapytał mnie, czy palę. Jest mądrzejszym ode mnie, bo jeszcze większym wrogiem tej trucizny, niż ja. Więc warto było nigdy nie palić, skoro zdarza mi się nieraz taka okazja do zbagatelizowania trzygodzinnego „bohaterstwa” palaczy.

Dochód z Jasełek był przeznaczony na opłacenie wyjazdu do Lisieux. Dzieci zrobiły także wiele palemek i chętne do obejrzenia miasta świętej Teresy do Dzieciątka Jezus zapłaciły tylko za obiad. Autobus był duży, 53 wygodne siedzenia, dołożono mi 14 składanych nie podnosząc ceny i dzieci z tych krzesłek nie chciały zamienić się na „lepsze”, z podparciem pod głowę. Oczywiście, było dwóch kierowców, matka jednego z nich mieszka 300 metrów od naszego kościoła, a pracownik przyjmujący pieniądze tu brał ślub. Wyruszyliśmy punktualnie o 5-ej i po czterech godzinach wysiedliśmy przed Bazyliką, aby w krypcie uczestniczyć we Mszy Świętej, którą koncelebrowałem z polskim księdzem w dwóch językach: on był z pielgrzymką polską, a uczniowie katechezy nie rozumieją po polsku.

Potem wszyscy oprócz mnie obejrzeni dom rodzinny św. Teresy. Zaproponowałem dzieciom zrobienie zabawek, jakimi bawiła się Tereska. A że wszyscy od razu nie mogli wejść do domu, czekający wydawali pieniądze w sklepie z pamiątkami. Co ciekawe, niemal wszystkie dzieci kupiły pamiątki dla domowników, nic dla siebie!. W południe dano nam obiad w domu pielgrzyma. Niewiele jest do oglądania na zewnątrz Karmelu, a do wnętrza siostry wpuszczają tylko kandydatki na karmelitanki. Ale słuchaliśmy śpiewu modlących się siostr. Zakłopotane były dzieci, które rozglądały się po całym kościele nie mogąc dojrzeć śpiewających. Dopiero później im wytłumaczyłem, co to jest Karmel, dlaczego są otoczone murem trzymetrowej wysokości. Przewodniczka przyniosła dzieciom kartki z pytaniami, na które odpowiedź trzeba było znaleźć podczas zwiedzania. O 15-ej byliśmy znów w Bazylice, a

przewidziany na 16-ą odjazd opóźnił się o kwadrans: nie było dzieci wśród spóźnionych. Byli tylko dorośli, którzy korzystali z ostatniej możliwości zakupu pamiątek.

Przed kościołem autobus zatrzymał się spóźniony o 45 minut. Te dodatkowe pół godziny były zawinione przede mną. Przewidziałem 30 minut na przejście po najdłuższym w Europie moście wiszącym (ponad 2 kilometry, środkowe z trzech przęsł ma ponad 800 metrów długości), ale tylko niektóre dzieci przeszły tak szybko. Ja byłem także „w czołówce” i pod koniec marszu straszylem dzieci, że jeszcze będziemy musieli przejść przez drugi (widoczny) most. Nie chciały. Ostatnia grupa doszła po godzinie, niektórzy już niemłodzi zaklinali się uroczyście, że jest to ich ostatni w życiu tak daleki przemarsz (4 km, wliczając dojścia do parkingów). Niewiele osób przejechało przez most w naszym autobusie. Po przejściu przewidywałem czas na odpoczynek i najzwyczajniejsze spanie, ale dzieci krzykiem domagały się telewizji, więc poprosiłem o pokazanie ostatnich dwóch kaset video. Nawet starsi byli zadowoleni z obejrzenia życia świętego Maksymiliana Kolbe, gdyż wiele oglądanych zdarzeń było dla nich nowością. A po wyjściu z autobusu, jeszcze przed powitaniem się z oczekującymi rodzicami, niektóre błagały mnie o wypożyczenie im kasy o świętej Teresce.

Dzieci przygotowywały się do tej imprezy przez trzy miesiące. Większość obejrzała jedną kasę o świętej Teresie. Drugiej – w innej wersji – nie rozpakowywałem przed naszym wyjazdem, aby w autobusie widziały coś nowego. Wróciły radosne. Jedna dziesięcioletnia w domu do samej północy opowiadała o wrażeniach i przez dwie godziny nie pozwoliła sobie przerwać. Biedni jej rodzice! Ale rano sama bez narzekania na zmęczenie poszła do szkoły. Na przyszły rok dzieci też chcą jechać. Szkoda tylko, że niewiele śpiewały. Ale to moja wina, po prostu rano przed wejściem do autobusu zapomniałem sprawdzić, czy „mają wszystko”, co było napisane na karteczce wręczonej każdemu osobiście: śniadanie, kolacja, woreczek na śmieci, zeszyt i długopis (dzieci robiły notatki), humor, dobrą pogodę, uśmiech i piosenki. I ostatnia ciekawostka. Starsi zapłacili za obiad i za podróż, ja kupiłem jeszcze cukierki i rachunek wyszedł na zero. Nic nie dołożyłem, nic nie zyskałem, poza radością widzianą u dzieci. A przy okazji, znalazłem winnych klęski suszy zdarzającej się w ostatnich latach. Dzieci, przestańcie śpiewać wciąż „zawsze niech będzie słońce”, śpiewajcie też trochę o deszczu, bo bez deszczu może wakacje i wczasy będą bardziej udane, ale też nic nie wyrosnie na polu i będziecie głodne, nie wspominając o kurzu i brudzie.

A teraz przygotowuję się do wielkich uroczystości. Dnia 12 maja w Vaudricourt 50-lecie polskiej prowincji Oblatów we Francji-Beneluksie, 18 i 19 maja 75-lecie polskiej parafii w Calonne Ricouart-Marles les Mines, gdzie ja też będę, poza tym 5 maja uroczystość Królowej Polski w Lille i spotkanie z młodzieżą w Arras, 16 maja Pierwsza komunia Święta, 26 maja Uroczysta Komunia Święta, 29 maja – dzień Dziecka w Vaudricourt i 22 czerwca – wyjazd na urlop.

A kto z moich Czcigodnych Korespondentów nie otrzymał, a chciałby przeczytać moje poprzednie wrażenia, niech mi to napisze. Ksero jeszcze działa. A poza tym jeszcze muszę przygotować odpowiedź na pytanie pewnej Polki, skąd się wziął Pan Bóg? Jest tym bardzo zaniepokojona. I co ma mam jej odpowiedzieć? Jak chcecie, to mi pomóżcie.

Mam jeszcze inne pytanie dla dzieci, które są uczulone na mydło i wodę. Czy ryby też są karczone przez swoich rodziców za to, że są brudne? I czego one używają, aby być czyste?

*Z serdecznym pozdrowieniem
W Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, omi*